

# Japoński punkt widzenia: druga wojna światowa

## Oświecony Pokój

Michał Klimecki, autor książki “Pekin-Szanghaj-Nankin 1937-1945”[1], zawarł w swojej publikacji stwierdzenie, że “dla Europejczyków II wojna światowa rozpoczęła się o świcie 1 września 1939 r. atakiem Niemiec na Polskę”. Zasugerował jednak, że początków drugiej wojny światowej należy upatrywać w Azji, i to już na początku lat ‘30 XX wieku. To właśnie wtedy Cesarstwo Japonii zainicjowało swoją drapieżną politykę zagraniczną. Wszystko zaczęło się od najazdu na chińską Mandzurię, w której ostatecznie utworzono marionetkowe państwo Mandżukuo. Klimecki opisuje Japończyków jako naród “przekonany o własnej wyjątkowości i doskonałości”. Megalomania i ksenofobia, zdiagnozowane przez autora, miały być widoczne już w XVII wieku, kiedy to władze Kraju Kwitnącej Wiśni wprowadziły “zakaz przebywania na wyspach cudzoziemców”. Burzliwe wydarzenia XIX i początku XX wieku sprawiły, że po pierwszej wojnie światowej Japonia stała się mocarstwem. W 1926 r. na tron Kraju Wschodzącego Słońca wstąpił książę Hirohito, wielki zwolennik militarystyki i imperializmu. Zapanowała wówczas epoka o dość mylącej nazwie Showa (Oświecony Pokój). W roku 1927 japoński premier przedstawił tamtejszym elitom tajny plan podboju świata. Pierwszym krokiem do tego podboju miało być opanowanie Państwa Środka[2].

## Apetyt na Chiny

Według Klimeckiego, Mandżukuo zostało proklamowane 1 marca 1932 r. Nie było wielkie, ale zawierało znaczną część ważnych chińskich surowców naturalnych. Na czele państwa teoretycznie stał cesarz Chin. W praktyce musiał on być posłuszny wobec okupantów, którzy, co bardzo wymowne, unikali tytułowania go cesarzem. Kolejnym celem japońskiej ekspansji okazał się Szanghaj. Japończycy planowali, że najpierw go zdobędą, a potem się z niego wycofają, żeby pokazać Lidze Narodów swoją rzekomą wspaniałomyślność. Chińczycy bronili Szanghaju z męstwem i zawziętością, jakich agresorzy nie przewidzieli. Japoński najeźdźca, zgodnie ze swoim postanowieniem, opuścił Szanghaj, ale bardziej osłabiony niż mógł się tego spodziewać. W lutym 1933 r. Liga Narodów rozświetliła Imperium Słońca, ogłaszając, że podbój Mandżurii był działaniem bezprawnym. Japoński delegat, słysząc tę opinię, ostentacyjnie wyszedł z sali obrad. Miesiąc później Kraj Kwitnącej Wiśni wystąpił z Ligi. Od tej pory Japonia nie była już skrepowana traktatami międzynarodowymi. Mogła zatem kontynuować swoją ekspansję. W 1936 r. azjatyckie mocarstwo stało się sojusznikiem Adolfa Hitlera, podpisując wraz z nim pakt antykominternowski. Rok później Japończycy zaatakowali Nankin. Dokonali tam potwornej rzezi 300.000 Chińczyków[3].

## Jednostka 731

Jacek Solarz, twórca książki “Armia japońska 1875-1945”[4], daje czytelnikom do zrozumienia, że dalekowschodni agresor nie cofał się przed niczym. Wiedział jednak, że jeśli chce podbić świat, to zwykła broń może mu nie wystarczyć. Potrzebował czegoś znacznie potężniejszego. Jego wybór padł na broń biologiczną. Już w 1931 r. Japończycy utworzyli w Mandżurii Jednostkę 731: ośrodek badawczy, w którym prowadzono doświadczenia na bezbronnych jeńcach wojennych[5]. Ofiary były zarażane

ciężkimi chorobami oraz badane pod kątem odporności na różne warunki klimatyczne. “Więźniów przywiązywano na dworze przy temperaturach schodzących nawet poniżej minus 20 stopni i, aby przyspieszyć zamarzanie, polewano im kończyny wodą. Dla sprawdzenia, jak postępuje zamarzanie, opukiwano im ramiona i nogi młotkiem. Następnie zanurzano więźniów w ciepłej wodzie o różnych temperaturach, aby znaleźć jak najlepsze środki leczenia odmrożeń. W najgorszych przypadkach skóra i mięśnie odpadały, powodując natychmiastową śmierć” - pisze Solarz[6]. Shiro Ishii, szef Jednostki 731, nigdy nie poniósł kary za swoje zbrodnie. Wyniki jego eksperymentów trafiły w ręce Amerykanów, którzy również dążyli do opracowania broni biologicznej. Ale to jeszcze nie wszystko. Jankesi uczynili Ishii wykładowcą Fort Detrick.

### **Azja dla Azjatów**

Przejdźmy jednak do problemu, który nas najbardziej interesuje, czyli do japońskich działań zbrojnych w czasie drugiej wojny światowej (chodzi mi o to, co na Zachodzie rozumie się pod pojęciem “druga wojna światowa”). Omówienia tego tematu dokonał Zbigniew Kwiecień w artykule “Pod hegemonią Japonii. ‘Azja dla Azjatów’ 1941-1945”[7]. Zdaniem autora, Kraj Wschodzącego Słońca kierował się swoistym mesjanizmem. Chciał być postrzegany jako bohater, wręcz zbawiciel, który wyzwoli Azję spod kulturowych, politycznych i gospodarczych wpływów Europy i Ameryki. Japończycy pragnęli usunąć ze swojego kontynentu kolonializm, komunizm i chrześcijaństwo. Realizując te panazjatyckie hasła, podbijali kolejne ziemie. To, oczywiście, nie podobało się Europejczykom i Amerykanom, albowiem ich pozycja na tamtych terenach była bardzo silna (kolonie upadły dopiero po wojnie). Japończycy dość łatwo poradzili sobie na ziemiach kontrolowanych przez Europejczyków. Prawdziwym wyzwaniem pozostali dla nich Jankesi. Stany Zjednoczone robiły, co mogły, żeby powstrzymać Imperium Słońca. Początkowo konflikt amerykańsko-japoński toczył się wyłącznie w sferze politycznej i ekonomicznej. Kiedy stało się jasne, że Japonia nie ustąpi, oba kraje rozpoczęły przygotowania do wojny. Było to w roku 1941.

### **Przyjaciół czy wróg?**

O tym, że Kraj Kwitnącej Wiśni zdecydował się napaść na USA, przesądziła jego trudna sytuacja związana z amerykańskim embargiem paliwowym. Zbigniew Kwiecień tłumaczy, że Japonia, chcąc prowadzić wojnę, potrzebowała dużych ilości paliwa. Gdyby przyjęła warunki Stanów Zjednoczonych, odzyskałaby dostęp do paliwa, ale musiałaby zrezygnować z podbijania Azji. Gdyby odrzuciła warunki i kontynuowała ekspansję, szybko poniosłaby klęskę ze względu na deficyt paliwowy. Japończycy doszli do wniosku, że muszą się wyrwać z tego błędnego koła. Postanowili, że dokonają tego wskutek zmasowanego ataku na Pearl Harbor[8] i liczne punkty w Azji (m.in. Singapur). Akcja zakończyła się sukcesem i pociągnęła za sobą dalsze zwycięstwa. Przez pół roku Imperium Słońca odnosiło tryumfy, które wskazywały, że sen o Azji uwolnionej od wpływów europejsko-amerykańskich może się ziścić. Japończycy - w niemal wszystkich zakątkach kontynentu, do których docierali - wspierali lokalne ruchy antyeuropejskie i antyamerykańskie. Chociaż sami byli najeźdźcami, cieszyli się poparciem wielu mieszkańców państw podbitych. Można powiedzieć, że Kraj Wschodzącego Słońca niósł Azjatom jednocześnie wyzwolenie i zniewolenie. Przypominał Armię Czerwoną, która miażdżyła reżim hitlerowski, ale zastępowała go własnym.

### **Yamato i Musashi**

W czasie japońsko-amerykańskiego konfliktu zbrojnego ogromną rolę odgrywała marynarka wojenna obu mocarstw. Jeśli chodzi o Japonię, do historii przeszedł wyprodukowany przez nią pancernik Yamato[9], o którym można poczytać w artykule “Yamato - gigant ze stali”[10]. Według tego źródła, rzeczony statek

był “najpotężniejszym w historii pancernikiem”. Wyróżniał się wypornością, która wynosiła aż 64000 ton. Był też wyposażony w działa kalibru 457 milimetrów[11]. Prace nad konstrukcją okrętu trwały od 1937 do 1941 r. Budowa pancernika była poprzedzona inwestycją w nowe maszyny do konstruowania statków. Oprócz nich, ufundowano specjalny frachtowiec, który transportował do stoczni arcycieżkie uzbrojenie. Okrętów takich jak Yamato miało być w sumie pięć. Ostatecznie, udało się stworzyć “tylko” dwa. Ten drugi nosił nazwę Musashi. Maciej Michałek, autor tekstu “Pierwsi kamikadze, superpancernik na dnie. Tak zatopiono flotę japońskiego imperium”[12], pisze, że Yamato i Musashi wzięły udział w największej bitwie powietrzno-morskiej analizowanego okresu. Musashi został posłany na dno zanim zdążył wyrzucić Amerykanom jakąkolwiek szkodę[13]. Yamato przetrwał starcie, ale kilka miesięcy później został zatopiony w trakcie swojego samobójczego ataku. Nawet nie zdołał dopłynąć do jankeskiej floty.

### **Boski Wiatr**

Grzechem byłoby nie wspomnieć również o pilotach-samobójcach, czyli kamikaze (kamikadze). Według Macieja Michałka, dalekowschodni straceńcy “zadebiutowali” podczas omówionej wcześniej bitwy w zatoce Leyte. Umyślnie rozbili swoje samoloty o pokłady trzech amerykańskich lotników. Jeden okręt został wówczas zatopiony, a dwa - uszkodzone. Więcej informacji na temat niezwykłych lotników zawiera publikacja “Kamikaze - kim byli piloci samobójcy?” Rafała Natorskiego[14]. Twórca tekstu podaje, że nazwa słynnego szwadronu oznaczała “boski wiatr”. Pochodziła od tajfunów, które w XIII wieku przeszkodziły mongolskiej flocie nacierającej na Japonię. Statki agresorów poszły wtedy na dno, a Kraj Kwitnącej Wiśni został uratowany. W roku 1944, kiedy władze Japonii zrozumiały, że ich szansa na wygranie wojny jest coraz mniejsza, piloci kamikaze uzyskali specjalny status. Zaczęto ich postrzegać jako ostatnią nadzieję na zwycięstwo, a także jako wielkich patriotów, którzy w imię Ojczyzny są gotowi pójść na pewną śmierć. Lotnicy mieli się kierować etosem samurajskim. Początkowo przyjmowano do szwadronu wyłącznie ochotników. Później zarządzono jednak przymusowy pobór. Liczbę pilotów-samobójców, którzy zginęli w czasie wojny, szacuje się na 4000. Ci, którzy przeżyli, do dziś miewają rozterki moralne.

### **Ideal sięgnął bruku**

Michał Klimecki twierdzi, że Japończykom marzył się podbój całej Ziemi. Zbigniew Kwiecień przekonuje, że Krajowi Wschodzącego Słońca chodziło, przynajmniej w sferze deklaratywnej, o wyzwolenie Azji spod europejskiej i amerykańskiej dominacji. Szumna idea uwolnienia kontynentu azjatyckiego od euroamerykańskiego kolonializmu i imperializmu niewątpliwie była szlachetna. Łatwo ją zrozumieć, gdy się na nią patrzy przez pryzmat patriotyzmu, nacjonalizmu i antyglobalizmu. Ja sama mam antyeuropejskie i antyamerykańskie poglądy (choć uwielbiam serię filmową o Johnie Rambo. No, ale Rambo - skądinąd wielki amerykański patriota[15] - został dwukrotnie zdradzony przez USA. Później na stałe zamieszkał w Tajlandii i chyba czuł się tam lepiej niż w Ameryce). Jednak... czy wizja Azji wyswobodzonej spod europejsko-amerykańskiego jarzma to wystarczający powód, żeby atakować inne azjatyckie krainy? Czy jest to argument za tym, żeby je podporządkowywać Japonii? Jak się mają panazjatyckie hasła do wycinania w pień nankińczyków i do eksperymentowania na ludziach w Mandżurii? Kategorycznie potępiam działania Kraju Kwitnącej Wiśni prowadzone w pierwszej połowie XX wieku. Żądam, żeby Japonia przyznała się wreszcie do swoich okrucieństw. Bo nawet Rosja przyznała się do zbrodni katyńskiej.

## Japoński punkt widzenia

Skoro już wyjaśniłam, jak przebiegała druga wojna światowa na kontynencie azjatyckim... Skoro wytłumaczyłam, jaką rolę w całej historii odgrywało Imperium Słońca... Mogę zająć się tym, co najważniejsze, czyli recenzją dwóch japońskich filmów wojennych. Produkcje fabularne, o których będzie mowa w następnych akapitach, to "Otoko-tachi no Yamato" i "Eien no Zero". Życzę miłej lektury (a potem - przyjemnych seansów).

**Tytuł oryginalny:** "Otoko-tachi no Yamato"

**Tytuł międzynarodowy:** "Yamato"

**Tytuł polski:** "Yamato"

**Reżyseria:** Junya Sato

**Produkcja:** Japonia (2005)

Nie od dziś wiadomo, że forma dzieła powinna być adekwatna do treści. Jeśli chcemy nakręcić film o pancerniku Yamato, to musimy pamiętać, że wymaga on odpowiedniej - zapierającej dech w piersiach - oprawy. Temat jest wszak niebagatelny. I to dosłownie. Twórcy dramatu wojennego "Otoko-tachi no Yamato" ("Ludzie Yamato") stanęli na wysokości zadania i nakręcili swoje dzieło z olbrzymim rozmachem. Zanim przejdę do analizy produkcji, pozwolę sobie zauważyć, że filmowa rekonstrukcja okrętu robi ogromne wrażenie. A filmowcy doskonale o tym wiedzą, bo pokazują nam ją ze wszystkich stron, pozwalając zajrzeć tu i ówdzie, a nawet pobawić się uzbrojeniem (patrz: sceny, w których żołnierze korzystają z dział). Ale "Otoko-tachi no Yamato" to nie tylko film o wielkiej, pływającej bestii. Już sam oryginalny tytuł produkcji wskazuje, że jest to przede wszystkim dzieło o ludziach, którzy służyli na pokładzie stalowego giganta. I o ludziach, którzy wiązali z nim pewne nadzieje. Czyli o Japończykach, Narodzie Japońskim jako takim. "Otoko-tachi..." to film wypełniony głębokim patriotyzmem (nacjonalizmem?). Stanowi on pochwałę uczuć narodowych, gotowości oddania życia za Ojczyznę i Cesarza. Ogólny klimat produkcji jest bardzo patetyczny. Dużo tu powagi, wzniosłych słów i symbolicznych gestów.

Oczywiście, można mieć wątpliwości co do tego, czy patriotyzm żołnierzy napadających jest tym samym co patriotyzm żołnierzy napadanych. Jak wiemy, Japonia nie była pacyfistycznym państwem, które zostało zaatakowane i stanęło przed koniecznością obrony swojego terytorium. Przeciwnie: Kraj Kwitnącej Wiśni był agresorem, sprawcą ekspansji terytorialnej, wyjątkowo brutalnym okupantem. Rola Cesarstwa Japonii w Azji była taka jak rola Trzeciej Rzeszy w Europie. Oba mocarstwa były zresztą sojusznikami. W filmie "Otoko-tachi no Yamato" dokonano zabiegu, który można by określić jako "odwrócenie kota ogonem". Na pierwszy rzut oka, nie jest on jakoś szczególnie zakłamanym. Zawiera przecież fragmenty nagrań dokumentalnych, a narrator podaje odbiorcom kilka podstawowych faktów i dat związanych z wojną na Pacyfiku. Mimo to, produkcja jest nakręcona w taki sposób, że nijak nie wskazuje, iż Kraj Wschodzącego Słońca był bezlitosnym, nienasyconym, megalomańskim najeźdźcą. W dramacie występują cztery typy Japończyków: "bohaterowie" (większość marynarzy z Yamato), "męczennicy" (jeden z żołnierzy, który zostaje ciężko okaleczony), "ofiary" (ludność cywilna ginąca w wyniku amerykańskich nalotów) i "strażnicy pamięci" (wrażliwi patrioci pamiętający o poległych). A gdzie "zbrodniarze wojenni"?!

Twórcy filmu koncentrują się na losach zwykłych żołnierzy, którzy walczyli, aż w końcu zginęli na pokładzie Yamato. Podkreślają, że wielu z nich to byli nastoletni chłopcy mający przed sobą całe życie. Ci młodzieńcy - uczuciowi, idealistyczni, posiadający plany na przyszłość - zapłacili najwyższą cenę za wierność Ojczyźnie. Podczas gdy oni ginęli na oceanie, na lądzie traciły życie ich matki, siostry i narzeczone. Dobrze, ja to rozumiem, ale Imperium Słońca samo doprowadziło do takiej sytuacji, decydując się na politykę podbojów. Japońscy żołnierze nie oddawali ducha w obronie umiłowanego

kraju. Ginęli z rąk ludzi, którzy bronili własnych krajów przed ich agresją. Faktem jest, że cała historia ociekała tragizmem i doniosłością. Marynarze z Yamato naprawdę kochali swoją Ojczyznę, naprawdę tęsknili, naprawdę cierpieli i naprawdę umierali. Ale... hola! To samo dałoby się powiedzieć o Niemcach i Włochach! Nie ma nic złego w tym, że pokazuje się żołnierzy, nawet tych walczących po stronie najeźdźcy, jako istoty z krwi i kości. Jednak tak radykalne relatywizowanie historii jest niebezpieczne. Dzisiaj pochylamy się nad losem Imperialnej Armii Japonii, a jutro przyjdzie czas na hitlerowców (zresztą, to już się dzieje. Istnieją wszak niemieckie filmy typu "Upadek" Olivera Hirschbiegela czy "Okręt" Wolfganga Petersena).

"Otoko-tachi..." jest także dziełem gloryfikującym samą japońskość. Zobaczymy w nim to, co charakterystyczne dla tamtejszej kultury: waleczność, honorowość, kolektywizm, surowe zasady i bezwzględne posłuszeństwo wobec zwierzchników. Filmowcy nie zapomnieli również o takich symbolach Japonii, jak kwitnące wiśnie czy postać gejszy. Analizowana produkcja zawiera liczne podobieństwa do "Szeregowca Ryana" Stevena Spielberga[16]. W obu filmach występuje starzec będący łącznikiem między przeszłością a teraźniejszością. I tu, i tu pojawia się motyw młodego "wybrańca", który musi przeżyć wojnę, chociaż sam wolałby kontynuować walkę. Elementem każdego z filmów jest długa, dynamiczna, wysokobudżetowa sekwencja bitwy. Czy opowieść o dalekowschodnim pancerniku jest więc dziełem banalnym? W dużej mierze tak. Co gorsza, zawiera wiele cikliwych fragmentów, jest pełen słabo zarysowanych postaci, chwilami sprawia wrażenie przegadanego i przedłużanego na siłę. A jednak ma w sobie "to coś". Niejednokrotnie wzrusza i zachwyca. Wadą "Otoko-tachi..." jest fakt, że nie przedstawiono w nim punktu widzenia przeciwnika. Ba! Nie pojawia się w nim ani jeden amerykański żołnierz! Wróg został w tym filmie zdepersonalizowany, wręcz zdehumanizowany. Nigdy nie widzimy Amerykanów. Są tylko atakujące samoloty.

**Tytuł oryginalny:** "Eien no Zero"

**Tytuł międzynarodowy:** "The Eternal Zero"

**Tytuł polski:** /brak oficjalnego/

**Reżyseria:** Takashi Yamazaki

**Produkcja:** Japonia (2013)

"Eien no Zero" ("The Eternal Zero" - dosłownie "Wieczne Zero") to kolejny japoński dramat poświęcony wojnie na Oceanie Spokojnym. Pod pewnymi względami jest on podobny do "Otoko-tachi no Yamato". Są w nim jednak elementy, które czynią go nie tylko odmiennym od "Otoko-tachi...", ale wręcz stawiają go w opozycji do omówionej wcześniej produkcji. "Eien no Zero", zupełnie jak film o słynnym superpancerniku, bazuje na schemacie zapożyczonym z "Szeregowca Ryana". Oglądając to dzieło, znów natknijemy się na motyw starszego człowieka, którego wspomnienia stanowią most między "dzisiaj" a "wczoraj" (sęk w tym, że tutaj takich pośredników jest kilku). Naszym oczom ponownie ukaże się młody żołnierz, który - mimo szczerego pragnienia walki - zostanie zmuszony do przeżycia i opowiedzenia swojej historii przyszłym pokoleniom. W "Eien no Zero", tak jak w "Otoko-tachi no Yamato", uwzględniono wyłącznie japoński punkt widzenia. Amerykańscy wojskowi są wprawdzie widoczni, ale tylko raz, i to przez kilka sekund. Film nie mówi nam zbyt wiele o prawdziwej roli Japonii w czasie drugiej wojny światowej. Nie ma w nim nic, co dawałoby do zrozumienia, że Kraj Kwitnącej Wiśni był brutalnym imperialistą. Są za to wypowiedzi, które sugerują, że Japończycy musieli się bronić i ponosić ofiary.

Ale tutaj podobieństwa do "Otoko-tachi..." się kończą. Po pierwsze: inny jest zasadniczy temat produkcji. Uwaga filmowców nie koncentruje się bowiem na marynarzach, tylko na pilotach kamikaze. Po drugie: problematyka dzieła oscyluje wokół całkowicie innych idei. Ośmielę się wręcz stwierdzić, że pod względem światopoglądowym jest to twór z zupełnie innego porządku. Mniej tradycyjny, bardziej rewolucyjny. W filmie o pancerniku Yamato najistotniejsze były takie wartości, jak kraj, honor czy

lojalność wobec przełożonych. Miłość do Japonii, wierność ojczyźnianym ideałom... To były rzeczy święte i oczywiste, czyli takie, z którymi się nie dyskutuje. W "Eien no Zero" liczą się nie tyle idee patriotyczne, ile humanistyczne. A te drugie wchodzą nawet w konflikt z tymi pierwszymi. Twórcy dzieła prezentują punkt widzenia, który jest daleki od żarliwego patriotyzmu, a już na pewno nie ma nic wspólnego z nacjonalizmem. Poświęcenie dla Ojczyzny nie jest, oczywiście, całkowicie potępione (współcześni młodzi ludzie, wyśmiewający wojennych herosów, zostają ukazani w negatywnym świetle). Filmowcy przedstawiają jednak patriotyzm jako ideologię, która ciągnie za sobą krwawe żniwo: przynosi ludziom cierpienie i śmierć, rozbija rodziny, wymusza określone postawy i napiętnuje indywidualistów próbujących się wyłamać.

Już sama koncepcja, na której opiera się fabuła, sprawia wrażenie co najmniej kontrowersyjnej. Osią kompozycyjną opowieści jest bowiem postawa żołnierza, który służył w japońskim lotnictwie, ale cechował się tak silnym instynktem samozachowawczym, że stawiał ludzkie życie - własne i cudze - na pierwszym miejscu. Ponad ideałami wojennymi. "Eien no Zero" nie jest tylko sentymentalnym pochyleniem się nad jednostkami, które złożyły swoje młode lata na ołtarzu Ojczyzny. Nie jest też po prostu pytaniem o konkretne wydarzenia lub decyzje polityczne (choć filmowcy rzeczywiście wydają się pytać, czy utworzenie szwadronu takiego jak kamikaze było słuszne i konieczne). Ten twór idzie jeszcze dalej, brnie coraz głębiej. Choć nie jest to wyrażone wprost, produkcja stawia odbiorcę przed następującym problemem... Czy idee i ideologie, w których człowiek (a co za tym idzie - ludzkie życie) jest jedynie środkiem do celu, są moralne? Jestem polską patriotką i nacjonalistką, więc seans dramatu, w którym postawiono sprawę w ten sposób, był dla mnie porażający. Niemniej jednak film został nakręcony, a skoro już go obejrzałam, muszę się z nim zmierzyć. Nie mam czasu ani miejsca, żeby wyłuszczyć mój prywatny punkt widzenia. Ale wiem jedno: autorzy scenariusza (tudzież twórca książkowego pierwowzoru) włożyli kij w mrowisko.

I na samym włożeniu kija w mrowisko nie poprzestali. Filmowcy nieustannie dolewają oliwy do ognia, pokazując sytuacje, które uzasadniają przekonania centralnej postaci. Później komplikują sprawę, wyjawiając powody, dla których główny bohater tak bardzo chciał przeżyć wojnę. W końcu robią widzowi wodę z mózgu, przypominając to, co zostało powiedziane na początku dzieła. A mianowicie to, że protagonista - ten wielki obrońca życia podważający fundamenty japońskiej cywilizacji - ostatecznie został kamikaze i zginął w samobójczym ataku na amerykańską flotę. Dlaczego to zrobił? Jakże przyniosło to skutki? Tego akurat nie zdradzę, żeby nie zostać posądzoną o spoilerowanie. Osoby odpowiedzialne za "Eien no Zero" doskonale wiedzą, że poruszyły delikatną tematykę. Widać to w samej konstrukcji fabuły. Akcja opowieści rozgrywa się bowiem na dwóch płaszczyznach: współcześnie i podczas wojny. W obu epokach dużo się mówi o głównym bohaterze. Zdania na jego temat są podzielone, a emocje - silne i zróżnicowane. Postawa i czyny centralnej postaci stanowią przedmiot dyskusji, która w każdej chwili może się przerodzić w prawdziwą wojnę światopoglądową. Wojna ta może się zaś przenieść do realnego świata. Cóż, bohater dał "zagwozdkę" nie tylko postaciom, ale także widzom. Trudno przejść obok niego obojętnie.

Gorąco zachęcam do obejrzenia omówionych filmów i do wyrobienia sobie własnej opinii na ich temat.

**Natalia Julia Nowak,  
8-20 marca 2015 r.**

## PRZYPISY

[1] Wydawnictwo "Bellona", Warszawa 2008. Książka została opublikowana w ramach cyklu wydawniczego "Historyczne bitwy".

[2] "W celu samoobrony, jak też dla obrony innych, Japonia (...) nie będzie mogła usunąć trudności istniejących we Wschodniej Azji inną drogą jak polityką krwi i żelaza. Jednakże realizując taką politykę, staniemy twarzą w twarz przeciwko Stanom Zjednoczonym. Jeżeli chcemy w przyszłości uchwycić w swoje ręce kontrolę nad Chinami, będziemy musieli złamać Stany Zjednoczone, to znaczy postąpić z nimi tak samo jak podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Aby opanować Chiny, musimy najpierw zdobyć Mandżurię i Mongolię. Aby zawojować świat, musimy najpierw dokonać podboju Chin. Jeżeli uda się nam opanować Chiny, wówczas z obawy przed nami skapitulują wszystkie inne państwa w Azji i kraje Mórz Południowych" - miał powiedzieć premier Giichi Tanaka w specjalnym przemówieniu skierowanym do decydentów politycznych, gospodarczych i wojskowych. Cytuję jego słowa za Michałem Klimeckim, który z kolei powołuje się na książkę "Śmierć w Tokio. Z dziejów terroryzmu politycznego" Franciszka Bernasia (Warszawa 1989).

[3] O masakrze nankińskiej, znanej także jako gwałt nankiński, pisałam w artykule "Nankin - chiński Wołyń. Filmowe wizje masakry". Pozwolę sobie przytoczyć dwa cytaty, które wykorzystałam również w tamtym tekście. Oba fragmenty pochodzą z książki "Smutny kontynent" Jakuba Polita: "Masakry w Nankinie cechowała sięgająca granic perwersji pomysłowość. Ofiary zakopywano żywcem, traktowano końmi i czołgami, wieszano za języki na hakach. Niektórych, zakopanych w ziemi po pas, kazano rozszarpywać wielkim psom, innych krzyżowano, przybijano do drzew i słupów telegraficznych, obdzierano im pasy skóry, odcinano nosy i uszy", "Jedną z ulubionych zabaw było wpędzanie Chińczyków na dachy drewnianych domów, oblewanie parteru benzyną i podpalanie. (...) Inny rodzaj rozrywki polegał na wpędzaniu nago do lodowatej w grudniu i styczniu wody Yangzi; (...) próbujących wypłynąć ostrzeliwano i obrzucano granatami. Dzieci, a nawet niemowlęta nadzievano na bagnety" (cyt. za: Wiktor Ferfecki, "Zapomniane krwawe zbrodnie", portal TVP Info).

[4] Wydawnictwo "Militaria", Warszawa 2001.

[5] Historią Jednostki 731 zajmowałam się już w artykule "Gorsi niż Mengele. Diabły z Jednostki 731". Tekst stanowi rozbudowaną recenzję filmu "Hei tai yang 731" aka "Men Behind the Sun" (reż. Tun Fei Mou, Chiny-Hongkong 1988).

[6] Eksperymenty z zamrażaniem kończyn, opisane przez Jacka Solarza, to tylko wierzchołek góry lodowej. Aby uświadomić czytelnikom, jak strasznych barbarzyństw dopuszczali się japońscy pseudonaukowcy, zacytuję kilka zdań z artykułu "Jednostka z piekła rodem" Kamila Nadolskiego: "Jednym z najbardziej zwyrodniałych eksperymentów były wiwisekcje, czyli wszelkiego rodzaju operacje dokonywane na żywym pacjencie, bez znieczulenia. Więźniom amputowano kończyny, przeszywano je nawzajem (np. w miejscu nogi - rękę), sprawdzając, czy się zrosną. Wycinano narządy wewnętrzne, dokonywano zabiegów na otwartym mózgu - wszystko to przy pełnej świadomości operowanych. Oprócz tego celowo wywoływano u więźniów choroby, symulowano zawały serca i udary. Sprawdzano ile człowiek może wytrzymać bez jedzenia, a ile bez wody. Przebywające w obozie kobiety gwałcono po to, by później dokonywać na nich aborcji. (...) Na więźniach testowano również nowe rodzaje broni takie jak granaty czy miotacze ognia". Publikacja, której fragment przywołałam, znajduje się w dziale "Wiadomości" portalu Onet.pl.

[7] Opracowanie jest częścią pracy zbiorowej "Zarys dziejów Afryki i Azji. Historia konfliktów 1869-2000" pod redakcją naukową Andrzeja Bartnickiego (wydanie drugie poprawione i rozszerzone. Wydawnictwo "Książka i Wiedza", Warszawa 1996-2000).

[8] Pojęcie "Pearl Harbor" odnosi się do amerykańskiej bazy wojskowej usytuowanej na Hawajach. Japończycy, dowodzeni przez admirałów Yamamoto i Nagumo, zbombardowali ją 7 grudnia 1941 r. "Tora! Tora! Tora!" - brzmiało hasło, które nadali o godzinie 7:53. Stanowiło ono komentarz do faktu, że Amerykanie okazali się totalnie zaskoczeni atakiem. Japoński nalot doprowadził do śmierci 2345 żołnierzy i 68 osób cywilnych. Rannych zostało 1247 wojskowych i 35 cywilów. Konsekwencją ataku na Pearl Harbor było wypowiedzenie (przez Stany Zjednoczone i ich sprzymierzeńców) wojny Imperium Słońca. Doszło do tego dzień później, tj. 8 grudnia 1941 r. Przypis zredagowany na podstawie notatki "7 grudnia 1941 roku, miał miejsce japoński atak na Pearl Harbor" zamieszczonej w serwisie Historykon.pl.

[9] Co oznacza słowo "Yamato"? Polskojęzyczna Wikipedia podaje, że wyraz ten posiada wiele znaczeń. Jest on stosowany w różnych dziedzinach japońskiego życia społecznego. Oto niektóre ze znanych zastosowań: "Yamato – jedna z hist. nazw Japonii", "Yamato-damashii, duch Yamato – duch narodowy Japonii, poczucie narodowej godności i ducha bojowego", "Yamato – według mitologii japońskiej nazwa lądu, na którym wylądowali pierwsi ludzie po stworzeniu świata", "Yamato – okres w historii Japonii", "Yamato – dynastia japońska", "Yamato – jeden z japońskich rodów, z niego wywodzi się dynastia Yamato", "Yamato – rzeka w Japonii", "Yamato – jedna z japońskich grup etnicznych", "Prowincja Yamato – jedna z hist. japońskich prowincji w regionie Kansai (obecnie prefektura Nara)", "Yamato Nadeshiko – personifikacja wyidealizowanej kobiety japońskiej; podczas II wojny światowej ideologia propagandowa, polegająca na utrwaleniu przekonania o konieczności poświęcenia kobiet dla męża/żołnierza i kraju; w szerszym znaczeniu apelowała o poświęcenie do wszystkich, którzy uważali się za Japończyków". Znaczeń słowa "Yamato" jest dużo, dużo więcej. Przykładowo, istnieje wiele miejscowości o takiej nazwie.

[10] Publikacja, podpisana "mjm", jest dostępna na stronie internetowej Polskiego Radia SA.

[11] Info dla tych, którzy potrzebują dokładniejszych danych. Pełna wyporność pancernika: 71650 t. Długość całkowita: 263 m. Szerokość: 38,9 m. Maksymalna prędkość: 27,4 w. Zapas paliwa: 6400 t. Zanurzenie: 10,4 m. Liczba działek o największym kalibrze: 9. Przytoczone dane pochodzą z tekstu "Japoński pancernik Yamato" Kamila Walarowskiego (portal WWII.pl).

[12] Publikacja, podpisana "Maciej Michałek//gak", jest dostępna na stronie internetowej TVN24.

[13] Wrak pancernika Musashi udało się odnaleźć dopiero w marcu 2015 r. Choć na przestrzeni 70 lat organizowano wiele misji poszukiwawczych, żadna z dotychczasowych ekspedycji nie przyniosła oczekiwanego rezultatu. Dopiero ostatnia wyprawa - sfinansowana przez Paula Allena, współzałożyciela Microsoftu - zakończyła się sukcesem. Allen, organizując akcję poszukiwania okrętu, kierował się jego międzynarodową sławą. Więcej o tym wyjątkowym wydarzeniu można przeczytać w artykule "Zdjęcia i nagrania odnalezionego monstrum cesarskiej floty" opublikowanym w serwisie TVN24. Tekst, podpisany "mk//gak", ukazał się 6 marca 2015 r.

[14] Jest ona dostępna w dziale "Facet" portalu Wirtualna Polska. Opatrzono ją podpisem "Rafał Natorski/PFI".

[15] Nie tylko wielki amerykański patriota, ale również rodowity Amerykanin (Native American). Pamiętajmy o indiańskim pochodzeniu bohatera. Skoro już mówimy o Rambo, polecam mój artykuł zatytułowany "Pesymizm żołnierza-tułacza. Recenzja filmu 'John Rambo'".

[16] Napisałam kiedyś recenzję tej produkcji. Nosi ona tytuł "Wojna może zniszczyć, ale też uwznioślić" i jest ogólnodostępna w Internecie.



**PS.** Zwiastuny zrecenzowanych filmów...

“Otoko-tachi no Yamato”:

<https://www.youtube.com/watch?v=VW5yahSEdqU>

“Eien no Zero”:

<https://www.youtube.com/watch?v=rOE3GuFbQWM>

**PS 2.** Inne japońskie filmy wojenne...

“Admirał Yamamoto” (trailer):

<https://www.youtube.com/watch?v=TNhBDJmZcVo>

“Kamikaze - Boski Wiatr” (niemiecki trailer):

<https://www.youtube.com/watch?v=i4w4nDTN0Q0>